

Powietrze pachnie jak ostatnie dni wakacji

Mamy jako Polacy nieco zakorzenione narzekanie. Narzekanie jest bezpieczne, bo jeśli nic nam się nie podoba, to nic nas nie rozczaruje. Wchodzimy w kolejne miesiące, spodziewając się wszystkiego najgorszego i czasem nieśmiało uśmiechamy się, gdy te czarne wizje się nie spełnią. Odruchowo zatem chciałam ponarzekać na to, co było: na burze w czasie pobytu pod namiotem, na kiepskie jedzenie na półkoloniach moich córek, na nadchodzące zmiany i na to, że urlopu jest wiecznie za mało, a dzieci mają przecież długą przerwę w opiece szkolnej/przedszkolnej. No ale... jest dobrze.

Kolejny raz okazuje się, że mogę się uczyć od moich dzieci. Z uważnością obserwowały, jak znana im ścieżka zmienia się w czasie deszczu w rwącą rzekę. Z ciekawością pytały, dlaczego sąsiadujący z nami namiot odleciał z pola namiotowego, z fascynacją i lękiem patrzyły na tłum ludzi siedzących przy nikłym świetle w miejscu wyznaczonym do ewakuacji, by w następnym dniu tańczyć w strugach deszczu i nie martwić się o nic, bo przetrwaliśmy najtrudniejszy moment wszyscy razem.

Ich akceptacja rzeczywistości jest piękna. Możliwe, że doceniły one fakt, że nie są jak kumpel Stasia Pętelki i nie odbywają turystyki po lokalnych przedszkolach. Bo przedszkola miejskie latem organizują dla dzieci dyżury. Zwykle pracują przez jeden z wakacyjnych miesięcy. Żeby zostać szczęśliwcem, który ma opiekę w wakacje, trzeba zostać zapisanym. A zapisy to już osobny temat – każde miasto ma swój system i choć są tam pozory sensu, to jednak nasuwa się duże skojarzenie z generatorem liczb losowych, ale... miałam nie narzekać! Wracając: w książce Barbary Supeł pt. „Staś Pętka. Wielka wyprawa” jeden z chłopców opowiada o tym, jak spędzi wakacje, mówiąc: „Ja będę na dyżurach. Najpierw w przedszkolu Promyczek, potem w Serduszkach, potem w Truskaweczce, potem w Żabkach, a na koniec pojedę z rodzicami pod namiot”. Tournée po przedszkolach wymaga szybkiej adaptacji, czyli jest to aktywność dla twardzieli. Próbowaliśmy tego w zeszłym roku i chyba nie polecam.

Z resztą wystarczy, że zaczniemy rok szkolny najważniejszą zmianą w życiu małego człowieka, czyli moja córka ruszy do szkoły. Generalnie jest przygotowana: ma śniadaniówkę, plecak i wie, że obok szkoły jest biblioteka. Poza tym opowiedziała już o tym wszystkim sąsiadom, więc o jej gotowości wie cała nasza okolica.

Osobnym tematem pozostaje: czy ja jestem na to gotowa? Całkiem świadomie decyduję

jednak o wyłączeniu w swojej głowie tej pełnej obaw marudy. Tej, która opowiedziałaby o tym, jak magicznie we wrześniu grafiki zapełnią się chorymi dziećmi, jak na margines zostają zepchnięci przewlekłe chorzy, bo nie są tak dobrzy w polowaniu na wolne miejsca, jak w moim domu zaczną się mieszać patogeny z różnych placówek. Odpuszczam to wszystko. Jeszcze zdążymy walczyć z całą hordą robali, a apteki internetowe znowu będą z optymizmem pytać, czy leki na wszy umieścić na mojej liście życzeń (to trochę nędzne życzenie). W końcu wrzesień zacznie się dopiero za chwilę.

Katarzyna Czaplicka

Tytuł felietonu oczywiście nawiązuje do piosenki Taco Hemingwaya „Deszcz na betonie”.

grafika wygenerowana przez Adobe Firefly

Panaceum 9/2024